

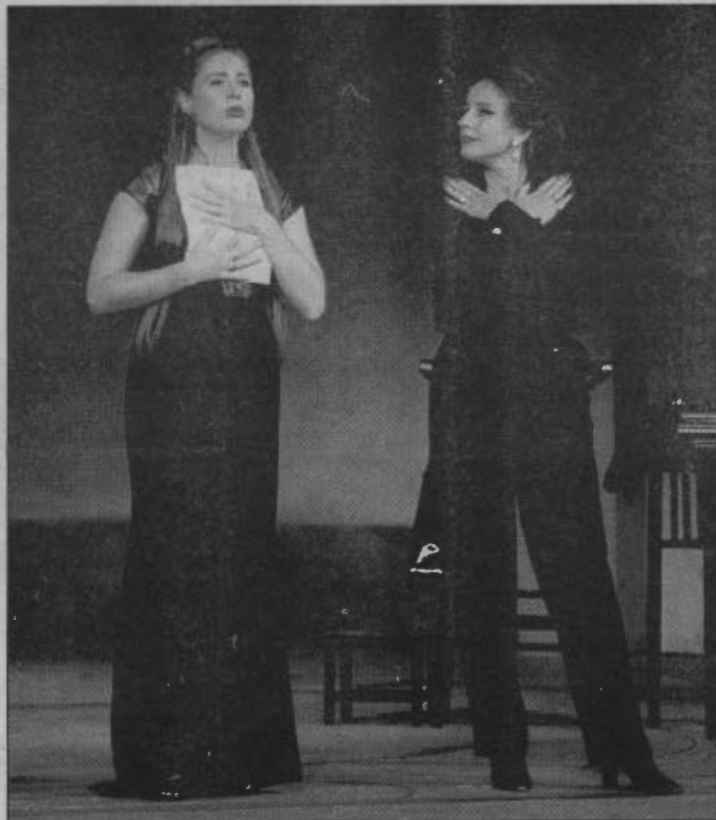
# Między kura domową a diwą

Krystyna Janda zagrała bardzo wiele wyrazistych postaci: była zbuntowaną młodą reżyserką, Medea, Modrzejewską... Z roli na rolę udowadnia, że potrafi zagrać każdą kobietę. Każdej dodać coś od siebie. A może zawsze jest to ta sama Krystyna Janda, tylko inaczej nazwana, pokazana przez reżysera z innej strony, w innym oświetleniu...

■ STEFAN DRAJEWSKI

Triduum z Krystyną Jandą, z którą aktorka objeżdża Polskę, rozpięte jest między „Shirley Valentine” (premiera w 1991 roku) a „Marlene” (premiera w 1999). Pomędzy była „Maria Callas — lekcja śpiewu” (premiera 1997). „Shirley Valentine” to monodram o kobiecie czekającej na męża z obiadem. Kobiecie amerykańskiej, ale doświadczenia bliższej tej znad Wisły. „Maria Callas” to niby opowieść o kursie mistrzowskim, jakiego udzieliła w słynnej Juilliard School of Music legendarna diwa operowa, przeplatana wspomnieniami dni wielkiej sławy. „Marlene” opowiada natomiast o ostatniej godzinie poprzedzającej przedostatni występ legendarnej Marleny Dietrich. Pozornie wydawać by się mogło, że Janda wybiera sztuki biograficzne o nośnych postaciach. Bynajmniej, i Dietrich, i Callas chyba nie dałyby się polubić pod koniec życia. Ważniejsze od biografii w tych sztukach jest przesłanie: Marlenę usiłuje powiedzieć, że blask sławy nie jest wcale tak cudowny, jak to się wydaje z drugiej strony rampy. Maria Callas natomiast próbuje przekonać partnerów na scenie i publiczność, że życie bez sztuki jest miłą, niepełną, uboższe...

W obu sztukach Krystyna Janda otoczona jest aktorami, ale to ona wiedzie prym. Wiem, że się z tym



Krystyna Janda z Elżbietą Suszko w „Marii Callas — lekcja śpiewu”.

nie zgadza, ale dla mnie są to monodramy z użyciem aktorów lub śpiewaków jako swego rodzaju rekwizytów lub elementów scenografii. W podobne przedsięwzięcia angażował się pod koniec życia Tadeusz Łomnicki.

To nie jest zarzut. Janda wybiera sztuki doskonale napisane. Z jednej strony są one dobrze skrojone, nie tylko je grać po bożemu. Z drugiej zaś, przypominają partytury, które dobra aktorka może nasycić i ukształtować tak, jak chce. Potrzebny jest jej tylko dobry reżyser, który okiem i uchem wychwyci fałszywe tony, niczego nie uduzi. „Shirley” wyreżyserował Maciej Wołtyjszko, który czuje komedię i ma słuch spo-

łeczny. „Marlene” to dzieło Magdy Umer, która sama śpiewała i wie, jak zrobić przedstawienie o piosenkarce; przedstawienie muzyczne. Wreszcie Callas wyreżyserował Andrzej Domalik, którego doświadczenia telewizyjne nie były tu bez znaczenia.

Trzy portrety kobiece, trzy różne wcielenia Krystyny Jandy, trzy udane wieczory teatralne, podczas których śmiech przeplatał się z zadumą, ironia z powagą, nostalgia z prozą życia, marzenia z rzeczywistością... Janda dość często bywa w Poznaniu, ale dopiero taki minifestiwal pozwala zobaczyć jej aktorstwo w perspektywie, a nie tylko zbliżeniu.